Nr. 50. We Lwowie dnia 10. Grudnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

30)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Miejscowość, zwana Bułunem, dokąd z taką niecierpliwością dążyliśmy od chwili wyjazdu naszego z Jakucka, jest to osada tubylcza, najdalej w dolinie Leny na północ wysunięta. Od niej do wybrzeży morskich liczą już tylko 180 wiorst odległości. Punktem bardzo ważnym jest ta osada dla podróżników, dążących w krainę północy, tutaj bowiem dostać oni mogą najłatwiej przewodników, znających dobrze tundry i rzeki polarne, a zarazem mieszkańcy dostarczyć są zawsze w stanie wszystkiego tego, co jest konieczne dla ekspedycji północnych, nadto pobyt pomiędzy nimi uczy podróżników, jak się zachowywać mają wśród niewygód, wilgoci i zimna. Osada cała składa się z kilkunastu tylko jurt jakuckich, z ubogiego domku popa i małej kapliczki; wszystkie te zabudowania są rozrzucone w n[illegible] dzie u ujścia, szerokiej w tem miejscu i głębokiej rzeki „Ajakit“, wpadającej do Leny.

Mieszkańcy Bułuna zajmują się połowem ryb, polowaniem na psy morskie, na dzikie renifery i piesce, czyli lisy polarne, zwane po jakucku „kyrsa“. Po za temi zajęciami, gospodarstwo tubylców Jakutów jest zredukowane do możebnego minimum, jedynemi u nich zwierzętami domowemi są psy, używane do zaprzęgu; na nich odbywają Jakuci wszystkie wyprawy zimowe, myśliwskie i gospodarcze, a nawet przedsiębiorą często dalekie podróże, ale tylko w tych kierunkach, gdzie mogą znaleźć zapasy suszonej ryby, jukałą zwanej, albo też zapasy, w jamach przechowywanej gniłej ryby, zwanej „kisłaja ryba“; do takich zaś miejsc, gdzie niema żywności, latem już przygotowanej dla psów jeździć oni muszą na reniferach. Chów psów, zaprzęgowych w tak znacznej ilości, jak to ma miejsce w Bułuniu, wyklucza możność hodowania stad reniferowych w pobliżu, to też Jakuci trzymają je opodal od osady, lecz zresztą posiadają ich stosunkowo bardzo nie wiele. Reniferów używają latem pod wierzch, zimą zaprzęgają do nart.

Gdyśmy przybyli do Bułunu, opadły nas psy tamtejsze, trzymane latem i jesienią wolno, bez uwięzi. Cała zgraja, złożona z przeszło stu kundlów, kosmatych, silnie zbudowanych, rzuciła się na naszą łódź, nie pozwalając wysiąść na ląd. Chcąc nas ochronić przed natarczywością rozzłoszczonych, na wpół dzikich zwierząt, musiano na nie wdziać obroże i trzymać na uwięzi, aż do naszego odjazdu. Mszcząc się za pozbawienie ich wolności, wyły przeraźliwie i czyniły pobyt w osadzie wielce nieprzyjemnym.

Nietylko mieszkańcy Bułuna, lecz wogóle wszyscy Jakuci północni są biedni, bo całe ich bogactwo stanowią skóry upolowanych pieseów. Skórami temi płacą podatek rządowy, zwany „Jasak'iem“, i za nie kupują to wszystko, czego własną pracą zdobyć sobie nie mogą na miejscu, obok wartości handlowej, skóry pieśców mają jeszcze niezmiernie ważne znaczenie i dla samych tubylców, bez futra tych zwierząt obejść się oni nie mogą, podczas długiej zimy północnej. W handlu rozróżniają trzy odmiany lisów polarnych: białą, popielatą i niebieską, są to wszakże barwne tylko odmiany jednego gatunku właściwego: *Canis lagopus*. Skórkę białej odmiany, najpospolitszej, przyjęto ogólnie za jednostkę monetarną, mającą wartość $1\frac{1}{2}$ rubla srebrem; za funt herbaty płaci się na północy dwie skórki lisie, za funt tytoniu prostego jedną skórkę, za skórkę pieśca popielatego 10 do 20 skórek białego, a następnie za skórkę pieśca niebieskiego 100 skórek białych, czyli licząc pieniędzmi, 150 rubli srebrem. Szczę-

śliwym się też czuje każdy Jakut, gdy zdoła upolować pieśca niebieskiego, bo jego futro jest chyba najdroższem i najpiękniejszem na ziemi; lecz nie tylko trudno jest zdobyć lisa polarnego o barwie niebieskiej, ale i nie łatwo opisać wygląd jego futra, niema bowiem dwóch skórek zupełnie do siebie podobnych. Wogóle mówiąc, tło główne stanowi w tem futrze włos długi, gęsty, lśniący, ciemno popielaty, przechodzący albo w czerniawy kolor, albo w ciemno niebieskawy, czyli gołębi, jak nazywają Rosjanie, stąd też pochodzi nazwa rosyjska „Gałuboj piesiec“. Po polsku nazywają futro takich pieśców, niebieskiem, albo błękitnem. Po nad tłem głównem, ciemnego futra wznoszą się włosy srebrzysto-lśniące, a skutkiem kontrastu dwóch barw i gry kolorów mieniących, szczególniej przy blasku słonecznym, powstają efekta świetlne nieporównane; to też dziwić się nie można, że skórki piesca niebieskiego cenią się tak wysoko i podobają się wszystkim i każdemu bez wyjątku. Futro białych pieśców o włosie długim, gęstym, lśniącym, srebrzysto-białym, jest w ogólnem użyciu na północy, cenione bywa nie dla piękności, lecz dla jego zalet wielkich. Szyją z tego futra całkowite ubrania, pończochy, spodnie, kaftany, kołdry, worki do spania i do podróży zimowych. Bez futra pieścowego nie jeden z podróżników byłby zmarzł na północy, a jeżeli wrócił cało i szczęśliwie do domu z dalekiej wyprawy, zawdzięczyć to musi nieocenionym zaletom futra pieśców. Konieczność zdobycia jak największej ilości skórek lisów polarnych, pobudza wszystkich tubylców do wytężonej pracy w czasie długiej zimy północnej, a praca ta polega na polowaniu.

Jakuci używają pułapek, czyli samołówek, gdyż broń palna nie zdała się wcale przy tem polowaniu; pułapki są bardzo proste, budowa ich jest archaiczną, ale tak doskonale przystosowana do warunków miejscowych, klimatycznych i do natury pieśców samych, że żaden inny samotrzask zastąpić ich na tundraah północy nie jest w stanie. Pułapki stawia się na usypanych z umysłu kopcach z kamieni, z których prawie wszystkie wzgórza tundry są utworzone; usypany kopiec łatwo się widzi z daleka, a do tego zamieci śnieżne, czyli „purgi“ nie zasypują go wcale, przeciwnie oczyszczają stale ze śniegu. Sama pułapka składa się z kilku belek, mocno ze sobą spojonych w taki sposób, że tworzy ona rodzaj daszka; jeden jego koniec opiera się o ziemię, drugi podnosi do góry; dla utrzymania daszka w położeniu żądanem, skośnem, stawi się podpórka drewniana, a pod nią podkłada się przynęta; tą jest w zwykłych wypadkach kawał ryby, przez pół zgniłej i mocno woniejącej. Piesiec zwabiony przynętą, stara się ją wydobyć, obala przytem podpórkę, a wraz z nią i daszek, który padając na niego, zabija go zwykle na miejscu. W ostatnich czasach kupcy, handlujący futrami, starają się dostarczać myśliwym północy, strychniny i sublimatu w celu ułatwienia polowania. W interesie jednak samych tubylców byłoby do życzenia, ażeby handel truciznami został jak najsurowiej wzbroniony, albowiem grozi on całkowitem wytępieniem pieśców, tego jedynego źródła bogactwa, albo przynajmniej zamożności mieszkańców tundr północnych.

Do budowy pułapek używają Jakuci tak zwany „spław“, jest to drzewo spławione przez

---

KAROLINA ŚWIETLA.

RUSAŁKA.

(Ciąg dalszy.)

Ela nic sobie nie robiła z przezwiska, które jej dawano. Zwracała wogóle bardzo mało uwagi na to, co ludzie mówią, lub robią, przebywając najchętniej sama ze sobą, — ze swemi myślami. Nie lubiła bywać w gospodzie na muzyce i tańcach, nie chodziła po jarmarkach i odpustach, jak inne dziewczęta To też mówiono o niej z przekąsem, że się pyszni tą odrobiną piękności, którą jej Pan Bóg dał i przesiaduje w domu, aby się nie pospolitować między ludźmi.

Zarzuty jednak sąsiadów były nie słuszne. Ela, choć śliczna naprawdę, nie była wcale zajęta swoją urodą, nie wiedziała nawet, że jest najpiękniejsza w gronie rówieśnic, a ta nieświadomość właśnie dodawała jej tem więcej uroku. Skądże by wzięła zresztą czas na rozmyślanie o takich marnościach. kiedy zaprzątnięta była ogromnie czem innem: w jasnej główce dziewczęcia brzęczało, szumiało, śpiewało, zupełnie jak w lipie pod oknami. Pochodziło to zapewne stąd, że od dziecka wsłuchiwała się we dnie i w nocy w poszumy tego drzewa.

Gdy po chatach gasły światła i wszystko zapadało w sen, prócz gwiazd i tego wietrzyka, który i w nocy nawet nie zaprzestaje pieszczot, rusałka słyszała głosy, rozmawiające w lipie. Mówiły one o dziwnych dziwach: o miastach olbrzymich, w których niezliczone mnóstwo ludzi tłoczy się i roi, niby pszczoły w ulach, — o szerokich rzekach, niosących statki z różnobarwnemi flagami, — o wodospadach, w których się odbija siedm tęcz, siedm słońce i tyleż księżyców, — o górach, w koronie lodowej na czole, z cudnemi na zboczach ogrodami, gdzie dojrzewają srebrne i złote jabłka, — o przepaścistych jeziorach, z których się wychylają o zmroku wieże zatopionych miast, — o rusałkach wodnych, co, zaczajone w sitowiu, czatują na młodych rybaków, których wiodą potem do swych pałaców z muszli perłowych, —

rzeki do oceanu i falami podczas burz morskich wyrzucone na ląd; innego drzewa, ani budulcowego, ani opałowego niema na całej północy, gdyż tych nie wiele zmarniałych drzewek, ścielących się po ziemi i ukrytych w mchu, albo krzewiących się w zacisznych dolinkach, lub w załamach skał, nazywać drzewem nie można, one nie wystarczają nawet na ogniska, rozniecane podczas podróży; ale za to „spław“ na tundrach napotyka się w ogromnej ilości, a to wzdłuż całego wybrzeża pomiędzy ujściem Leny i Oleneka: obfitość materjału drzewnego, wyrzuconego na ląd, jest wielka, widzieliśmy olbrzymie wały, złożone ze stosów drzew ogromnych: wysokość takiego wału wynosiła kilka sążni, przy odpowiedniej szerokości i przy długości, mierzącej kilka, a nawet kilkanaście wiorst; wałów drzewnych, leżących jeden za drugim, idąc w kierunku od lądu ku wybrzeżom oceanu, widzieliśmy kilka, odstępy pomiędzy nimi były niekiedy dosyć znaczne, wały najbardziej odległe od morza są zwykle pokryte mchem, a drzewa, z których się składają są spruchniałe, im bliżej do morza, tem drzewo jest świeższe, aż u samego brzegu wygląda ono jak budulec dopiero co oczyszczony z gałęzi i kory. Wszystkie te wały, cośmy widzieli, świadczyć się zdają, że ocean lodowaty w obecnym perjodzie geologicznym ustępuje w kierunku ku północy, i że ląd powiększa się kosztem morza.

Pomimo obfitości drzewa budulcowego na wybrzeżu i na tundrach sąsiednich, budowa pułapek nie jest rzeczą łatwą dla Jakutów, najtrudniejszą jest dostawa budulcu na miejsca, gdzie się stawiają pułapki, dowóz belek bowiem uskuteczniać się musi zimą na psach, zaś piłowanie i rąbanie miejsce tylko mieć może latem, lub wczesną jesienią, gdyż zimą przy tamtejszych mrozach, czynność taka wykonać się nie daje.

Tylko zamożne rodziny jakuckie, mające licznych robotników i dużo psów zaprzęgowych, są w stanie sporządzić dostateczną ilość pułapek, rozmieścić odpowiednio na wielkich przestrzeniach tundry i opatrywać je od czasu do czasu podczas perjodu trwania połowu w zimie, biedniejsi zadowalniać się muszą nie wielką ilością pułapek, a stąd i bardzo skromnym połowem, wystarczającym zaledwie na własne potrzeby.

Podczas kilkudniowego pobytu naszego w Bułuniu musieliśmy uporządkować zbiory nasze dotychczasowe, przesuszyć rośliny i owady, zalutować pudła, w które się je ostatecznie upakowało, następnie trzeba było ułożyć w ten sposób nasze rzeczy, cośmy zabrać mieli ze sobą, ażeby je można było umieścić w sakwach skórzanych, które odtąd służyć nam miały za tłomoki podróżne; dopiero ukończywszy zajęcia rzeczone, byliśmy gotowi do drogi. Łódź naszą, wszystkie zbiory i część rzeczy mniej potrzebnych pozostawiliśmy pod opieką naczelnika osady, resztę rzeczy wraz z zapasami żywności, składającymi się głównie z sucharów, suszonego mięsa reniferów, suszonej ryby, herbaty i trochę cukru przeprawiliśmy na prawy brzeg Ajakitu i zaraz potem pospieszyliśmy sami tą drogą w towarzystwie naszego kozaka. Tam zastaliśmy czekających na nas pięciu przewodników Jakutów z 20 reniferami i ze wszystkimi przyborami podróżnymi, mianowicie namiotami skórzanymi, sakwami, siodełkami, pałkami do na-

---

i o wielu innych rzeczach, które nie przychodzą mi teraz na myśl. Jednem słowem lipa opowiadała rusałce nocami owe bajki, któremi ta zabawiała potem ludzi: nie miała więc w tem zasługi tak wielkiej, jak się wielebnemu proboszczowi zdawało.

Przysłuchiwanie się głosom lipy sprawiało Eli żywszą przyjemność, niż cokolwiek bądź innego na świecie, chciała więc podzielić się nią z towarzyszkami i zaprosiła je pod lipę. Dziewczęta przyszły, zasiadły w cieniu drzewa i jęły słuchać, — nie usłyszały jednak nic, prócz wiatru, szumiącego w gałęziach. Wyśmiały więc Elę i powiedziały sobie, że biednej dziewczynie brakuje jakiejś klepki w głowie, a za niemi zaczęła to powtarzać cała wieś.

* * *

Pewnego dnia rozeszła się po Świetli wiadomość, że na plebanję zjechał znakomity gość. Był nim młody hrabia, dawny uczeń księdza proboszcza

Proboszcz ucieszył się niezmiernie z tych odwiedzin, chodził z młodym hrabią po górach i lasach, zbierał kamienie, rośliny, żuczki i motyle, a gdy zbadali w górach wszystko do cna, przyprowadził byłego wychowanka pod lipę wójtową, usiadł z nim razem na ławce i zawołał przez okno do izby na rusałkę.

Przybiegła, niby przepióreczka, lecz wnet pokraśniała, jak malina, gdy zobaczyła nieznajomego młodzieńca.

W wielkiem swem pomieszaniu zapomniała nawet pocałować w rękę wielebnego, nikt jednak nie wziął jej tego za złe, — owszem, młody hrabia sam wstał przed nią z uszanowaniem, niby przed wielką panią, która nie składa hołdów, lecz chyba miłościwie raczy je przyjmować. A wpatrywał się w nią przytem takiemi oczyma, że zapałka byłaby się z pewnością zatliła, gdyby tak na nią był spojrzał.

— Przyszliśmy po bajkę do ciebie rusałko, — rzekł proboszcz uprzejmie.

Ela spuściła głowę nisko na pierś. Wstydziła się okrutnie nieznajomego pana i radaby była uciec przed nim i przed bajką.

— O tak, przepiękna rusałeczko, opowiedz nam jaką bajkę! — powtórzył za proboszczem hrabia głosem stłumionym.

miotów, futrami podróżnemi ect. Pomimo kalendarzowego lata odziani już byliśmy do drogi w futerka, bo mgły i zimne deszcze trapiły nas codziennie.

Trzydziestego pierwszego lipca pożegnaliśmy ostatecznie rzekę Lenę i wyruszyliśmy w drogę, która nas wieźć miała w ukośnym kierunku przez wielką tundrę ku dolinie Oleneku, a następnie wzdłuż tej doliny aż do wybrzeża oceanu lodowatego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY.

LENORA.

3) **(Na temat Bürgera).**

— Nie odchodź jeszcze! jeżeli możesz, nie odchodź dziś wcale!

— Niepodobieństwo! muszę już odejść, dziecko drogie. Już późno. Wszystko usypia — uśnij — że i ty, kochanie moje. Rzadka to chwila piękności niezrównanej. Wiosna i spokój. — Zanurz się cichą duszą w te fale bzów liljowe, w te śniegi srebrnych konwalij... i uśnij myślą na ich posłaniu. Wszystko usypia, prócz słowików — zanucą ci kołysankę.

— O nie! nie kołysz mnie słowami, ale pozostań ze mną. . Dziś czemuś lękam się znowu... Dziś znowu się obawiam długich godzin nocnych.

— Czyż możesz się obawiać tej słodkiej, cichej nocy? Jej mroki, jej aksamitne cienie głaszczą tylko i pieszczą, — a hardej myśli nasuwają raczej szalone sny o niedostępnem szczęściu... ale nie zmory chorobliwe. Pożegnaj więc mnie z rozjaśnioną, spokojną twarzyczk ... Znowu ten twój szept gorączkowy, te oczy pr razone, — nie rozumiem, mów wolniej, mow głośniej, aniołku!

— „On“ lubił tak, jak i wszyscy, noce takie. Jak tylko mnie opuścisz, z pewnością przyjdzie do mnie! Nie odchodźże, nie odchodź! Obroń, wyratuj, bo czuję już blizkość jego, czuję, że już nadchodzi...

— Mój wielki Boże! czyż znów wracają przywidzenia twoje? Czyż dotąd nie zapomniałeś snów dziwacznych, tych smutnych halucynacji, zrodzonych z chorych nerwów i w mózgu, rozpalonym gorączką? Lecz teraz nerwy twe nabrały już mocy i spokoju, główki twej nie

---

I oto stała się rzecz dziwna: Ela nietylko nie zasromała się jeszcze bardziej, słysząc komplement, nietylko nie nabrała tem większej do ucieczki ochoty, lecz uczuła nagle niezwykły spokój i odwagę Była pewna, że młodemu panu podoba się wszystko, cokolwiek mu powie, chociaż ten nie powiedział jej o tem ani słówka. I co dziwniejsza, myśląc tak, nie myliła się ani na jotę: młodemu hrabiemu bajka jej podobała się niesłychanie przed tem jeszcze, nim dziewczyna otworzyła usta.

Można było teraz naprawdę pomyśleć, że ci, co nazywali Elę dumną, mieli przecież trochę słuszności. Zajęła miejsce, które jej hrabia ustąpił, z taką pewnością siebie, jak gdyby się ono jej należało, pozwoliła mu stać przed sobą, jak gdyby był jej służącym i jęła opowiadać:

„Pradziadek mój*) poszedł pewnego razu do lasu po drzewo. Dzień był niezmiernie upalny, położył się więc na chwilę w chłodku, aby wypocząć. Tak mu było jednak wygodnie leżeć na miękkim mchu, że ani się spostrzegł, jak zasnął.

Spał widocznie długo, bo gdy się obudził, dzwoniono na dole we wsi, w tym oto właśnie naszym kościołku, na anioł-pański.

Pradziadek zerwał się przestraszony, pochwycił siekierę, wybrał sobie drzewo, podniósł ramię do mocnego uderzenia i jął ciąć z całej siły. Nim jednak drzewo upadło na ziemię, naznaczył pozostający przy ziemi pień trzema krzyżami, a to w tym celu, aby rusałki, ścigane gonem psów w noce burzliwe, miały się gdzie schronić.

Zabierał się właśnie do okrzesania ściętego drzewa, gdy nagle zerwała się burza tak gwałtowna, jak gdyby koniec świata. miał nastąpić Woda leciała strumieniem z nieba, pioruny biły w drzewa, a wicher porywał je i unosił, niby zeschłe liście. Wśród tego huku i szumu rozróżnić jednak można było głosy jeszcze straszniejsze: było to jakby wycie i ujadanie stu naraz psów rozwścieklonych. (D. c. n.)

Tłum. *M. W.*

*) Legenda niniejsza przywiązana jest rzeczywiście do rodziny męża Autorki, — górali Mużaków.

(Przyp. Tłum.)

trawi żaden już płomień — tylko serce twe, słabe jeszcze, wymaga wielkich względów. Pamiętajże o niem! nie szkodź sobie, poddając się bez oporu ślepemu prądowi trwogi. Miejże choć trochę woli! odpędzaj podszepty szalonej wyobraźni. Coraz już rzadziej dokucza ci ona. Gaś ją do reszty, a nie rozdmuchuj samowolnie tlejących gdzieś na dnie iskier — choroby. Paroksyzm może się powtórzyć — oszczędzaj serce! No uspokójże się, uspokój wreszcie, ptaszyno biedna moja! Pójdźmy już do twej matki ukochanej. Uśniesz przy niej niebawem, — ona przy tobie czuwać będzie, a sypia przecież tak czujnie.

— On uśpi matkę moją. Jednego ciebie tylko uśpić nie może, ty jeden mu się opierasz. O gdybyś mógł na zawsze zostać przy mnie! We dnie mogę już teraz, chociaż z trudnością, obejść się bez ciebie. Ale bywają jeszcze noce! straszne noce, kiedy wprost ginę wśród męki!... Obrońco mój! zbawicielu jedyny! Rzadziej, powiadasz? Zapewne... może już rzadziej... ale tem straszniej i tem zdaje się bliżej... bliżej... końca tego — czy też początku innego życia. O przyjdź! przyjdźże mi dziś z pomocą!

— Nie drżyj i nie tul się tak do mnie, dziecko, bo nie chciałbym uledz słabości — i znów się cofać, i znów rozpoczynać to, co zdawało się być już na zawsze skończonem. Pozostanę jeszcze na chwilkę, zanim się uspokoisz i zapanujesz nad sobą. Znowu uciekłaś od nich wszystkich i pociągnęłaś mnie tutaj, na ten balkon odludny, gdy właśnie powinien cię otaczać gwar młodych głosów, śmiechy i śpiewy, światła i kwiaty, od których skrzy się ten jasny salon. Odzwyczajaj się, odzwyczajaj się już odemnie, życie ty moje!.. bo i ja przecież... chwiać się zaczynam... ja panowanie tracę nad sobą!... Czy ty... nic dotąd nie pojmujesz? Czyś jeszcze nic nie dostrzegła?

— Owszem, dostrzegłam, niestety! Dostrzegłam, że jesteś śmiertelnie już znużony, że ci już ciąży nad wszelką miarę pielęgnowanie dwuletnie prawie, takiej, jak ja, istoty, i dotąd napół jeszcze chorej, któraby ciebie całego, ciebie na zawsze chciała zatrzymać przy sobie. Dawniej czuwałeś przy mnie przez całe długie doby, zapominałeś dla mnie o wszystkiem i o wszystkich... Teraz przybywasz na krótkie chwile tylko. Uciekasz, wyrywasz się odemnie! utrzymać cię nie mogę — ciebie — życie, siłę, przytomność moją!... Uważam, że z kolei staję się — ja — zmorą twoją! Ja, która myśleć i żyć na nowo, nawet uśmiechać się i cieszyć — mogę tylko przy tobie! Im więcej twarz moja zabarwia się i wypełnia, tem bardziej twoja zaostrza się i chudnie. Im żywiej krew moja krąży, im szybsze i mocniejsze ruchy moje, tem zdajesz mi się być słabszym, i cichszym, i nieszczęśliwszym! Tak, — okrucieństwem jest trzymać cię dłużej przy sobie! ciebie, uwielbianego lekarza, upadającego pod ciężarem pracy i poświęcenia... Tobie nie dawać spoczynku! odbierać ci krótkie godziny snu krzepiącego!... Mój Boże! idźże, już idź, jedyny, jedyny mój!?.. Co powiedziałam?... ja mogłam „tak“ powiedzieć... Prawda, że chora jeszcze jestem... i że tobie... że panu... zawdzięczam zbawienie moje... Ta wdzięczność bez granic. . uczyniła cię... panie, blizkim i... drogim dla mnie. Wybacz to zapomnienie form wszelkich. Nie wiem sama, jak mówić... co czynić... jak nazywać?... Naucz mnie, drogi... panie!...

— Dziecię — wyzdrawiasz dopiero — i mówisz do przyjaciela, lekarza, opiekuna twego. O formach mowy być nie może. Stałem się blizkim dla ciebie — a więc zwracaj się, jak do blizkiego... póki przy tobie pozostaję — zanim cię nie opuszczę. Ale staraj się odzwyczajać odemnie, usiłuj zapominać o mnie w godzinach mej nieobecności. Wkrótce nie będę ci już potrzebnym, a więc odejdę do tych, którym potrzebniejszy dziś jestem. Czy wiesz, że ludzie się dziwią, wsłuchując w pogodne nasze rozmowy... że wciąż przychodzę do ciebie... bez potrzeby wyraźnej. Ludzie sądzą, żeś zdrowa zupełnie... że ja nie jestem już lekarzem twoim... tylko... tylko przyjacielem... że... że ja pragnę wynagrodzenia za kurację! Cha, cha! poczciwi ludzie wszędzie przyzwyczaili się wietrzyć — zyski... Ale dość o tem wszystkiem. Słyszysz? Ztamtąd już dolatuje szmer nut zwijanych, ostatnie zwrotki pieśni, cichnące fale śmiechu dziewczęcego. Muszę już odejść. Pożegnaj mnie spokojnie i wesoło — i uśnij mocno i słodko przy matce. A teraz pójdziemy jeszcze na chwilę do nich.

— Wszystkie te światła, głosy, wonie wiosenne, życie, występujące z brzegów — to wszystko tylko ułuda, zdradne sidła na mnie! Po chwili już nastąpi mrok i cisza, głęboki sen — i noc, królestwo „jego“. I oto „on“ stanie się znowu panem moim. I tylko wówczas, kiedy w tych cieniach ręka moja spoczywa w twej dłoni, kiedy me ramię dotyka twego ramienia, gdy słyszę cię mówiącego — tylko gdy ty, jedyny, jesteś przy mnie — moc „jego“ bezsilną się staje.

— A więc! a więc! każ — że mi zostać przy sobie naprawdę już — na zawsze! Rozkaż — że mi zostać, bo chyba zginiemy już oboje! To prawda, że i ja już upadam, że tracę siły w walce z sobą — a że jedno, jedno tylko wyjście widzę przed nami!... Ja przecież kocham cię, kocham i kocham! kochałem cię, zanim „on“ tu jeszcze przybył i porwał cię dla siebie! Miłość ta tylko ogromna natchnęła mnie mocą uleczenia ciebie. Dajże mi prawo ostatecznego ratowania ciebie... i siebie, jeżeli wolno mi wspomnieć już teraz o sobie, — albo odepchnij raz na zawsze — i gińmy! Czuję, rozumiem, że kilka tylko miesięcy nieustannego czuwania

nad tobą — uleczy już do reszty twój wstrząśnięty umysł, troskliwość całego życia, zachowa nadwerężone serce twoje! Nie wymagam.. tymczasem... nic, nic od ciebie, nawet czulszego wyrazu, spojrzenia... nawet, by usta twe ukochane nazwały mnie mężem... tymczasem... tymczasem... tylko może... kochanie moje?... Muszę być albo mężem — albo już odejść od ciebie.. O pomyśl! o chciej zrozumieć! — krótka już tylko ceremonja — i nic już, nic, nic nas nie rozdzieli! Wyratujemy się może nawet... dla szczęścia... szczęścia wielkiego! jeżeli tylko sama zechcesz... sama zezwolisz... uświadomisz w przyszłości to, co może i teraz już odczuwasz nieświadomie...

— Chcesz, bym została żoną twoją?!

Szepce te słowa, jakby się obawiała ich brzmienia, jak gdyby były one pełne zdrady i świętokradztwa. Pociągła, biała twarzyczka srebrzy się w księżycu wyrazem nadmiernego lęku i zdziwienia. Przygasłe, ciemne źrenice ciskają nagle płomień zgrozy.

Oparty o przeciwległą ścianę — stoi przed nią wysoki, szczupły, młody jeszcze mężczyzna. Ręce skrzyżował na piersi i mocno ją przycisnął, tłumiąc pożar, czy burzę, szalejącą w jej wnętrzu. Rysy, nawykłe do przybranego i do wywalczonego wyrazu spokoju — na pozór zdają się być tylko poważne i skupione, lecz nie zdradzają namiętnego wzruszenia, które wstrzymuje oddech jego. Rozumne, smutne oczy pełne są tylko pytania:

— Życie, czy śmierć?

— Nie. Żoną twoją być nie mogę. Kochałam... i kocham tylko „jego“. Nie wolno mi kochać nikogo — i nie chcę, nie chcę tego. Mogłam wprawdzie, złamana, tak mocno wesprzeć się na tobie, żeś i ty nawet się zachwiał!

(D. c. n.)

Szkice z nad Niewiaży.

15)

Pierwsze ludowe szkoły powstały u nas na mocy prawa z dnia 3. sierpnia (22. lipca) 1842 r. które nakazało w dobrach skarbowych założyć szkoły ludowe dla rozpowszechnienia oświaty oraz przygotowania niższych oficjalistów gminnych np. pisarzy; wyjaśniając tę uchwałę, minister dóbr państwa, głośny hr. Kisielow 1. kwietnia (20. marca) 1843 r. zatwierdził ustawę szkół ludowych w dobrach państwowych. Wedle tej ustawy nauczycielem miał być miejscowy duchowny prawosławny lub djakon; etat szkoły wynosił 250 rub., a mianowicie: wynagrodzenie nauczyciela 85 rub., jego pomocnika 75 rub., stróża 17 rub. 50 kop., lokal, opał i światło 45 rub., tudzież wydatki szkolne 27 rub. 50 kop. Prawo to nie zostało wykonanem u nas, »albowiem, jak mówi księga jubileuszowa, str. 114 i 115, w praktyce rozkaz hr. Kisielowa w gub. kowieńskiej nie mógł być wykonany i naznaczać nauczycieli z pośród duchownych prawosławnych okazało się bardzo niezręcznie, bo wszystkie dzieci wyznawały katolicyzm.«

Do tych słów księgi jubileuszowej dodać należy, że wówczas na całe powiaty był tylko jeden duchowny prawosławny, zatem i nie wystarczyłoby ich. W tym też czasie ułożono pierwszy elementarz żmudzko-rosyjski, »aby ułatwić trudne zadanie nauczenia Litwinów i Żmudzinów języka rosyjskiego«, (księga jubileuszowa, str. 115). Wypadło więc z konieczności mianować na posady nauczycieli ludowych ludzi bez wszelkiego przygotowania pedagogicznego, urzędników, wypędzonych ze służby itd., słowem, ludzi bez czci i wiary, »z pod ciemnej gwiazdy«, jak mówią u nas. W tym też czasie w myśl ustawy z r. 1828 rząd założył w 3 powiatach: żmudzkim, szawelskim, telszewskim i rosieńskim, 8 szkół parafjalnych; »zakładając te szkoły, rząd pragnął osłabić wpływ szkół kościelnych, w których nietylko nie uczono języka rosyjskiego, ale go nawet zupełnie ignorowano, opierając wykształcenie na językach: polskim lub litewskim«, mówi księga jubileuszowa na str. 115.

Wyłącznie żeńskich szkół ludowych nie było wówczas, niema ich nawet dotąd, bo z istniejących założono wyłącznie dla córek »osiedleńców ruskich«. Szkołami zawiadywały poszczególne gałęzie administracji, jednolitości, planu ogólnego nie było ani śladu. W r. 1864 szkółek ludowych, zależnych od ministerstwa dóbr państwa, było 35 wraz z 1432 uczniami urzędownie zapisanymi na listę uczniowską, ale w rzeczywistości nie było ani jednego, bo wykłady w szkołach były zawieszone. W tym też czasie stało się rzeczą możliwą wprowadzenie tymczasowej ustawy dla szkół północno-zachodniego kraju, zatwierdzonej w d. 4. kwietnia (23. marca) 1863 r., jakoż 6. grudnia (24. listopada) 1864 r. otwarto w Poniewieżu

Dyrekcję szkół ludowych w gub. kowieńskiej, którą w dniu 18. (6.) kwietnia 1865 przeniesiono do Kowna. Była to naczelna władza nad szkołami ludowemi, jaką pozostaje do dnia dzisiejszego.

W owej chwili kwestje nauczania i języka wykładowego były już stanowczo rozstrzygnięte. Język polski postanowiono stanowczo usunąć ze szkolnictwa, litewski zaś pozostawiono, jako pomocniczy do nauczania języka rosyjskiego, oraz do wykładów religji, nim dzieci nie posiędą w stopniu dostatecznym języka urzędowego; wogóle początkowe wykłady religji winne odbywać się w języku macierzystym, nim dzieci nie posiędą wykładowego. Ówczesny wielkorządca wileński uznał, że włościanie gub. kowieńskiej są na tyle zamożni, że mogą sami budować szkoły, przeto nakazał to robić, komisarze do spraw włościańskich zwoływali zebrania gromadzkie, czytali im uchwały odpowiednie o założeniu szkoły i pytali: czy chcą tego? Gromada zwykle milczała ponuro; milczenie brano za znak zgody i uchwałę odpowiednią pisano, każąc podpisać ją za niepiśmiennych.

W ten sposób zakładano szkoły. Nauczycieli do nich dostarczyło przeważnie seminarjum duchowne w Twerze, czyli raczej jego alumni, usunięci zeń za postępowanie naganne. W r. 1865 istniały 22 szkoły parafialne, 76 ludowych (oprócz 35, należących do ministerjum dóbr państwa) oraz 16 kościelnych (protestanckich). Perjod od 1864 do 1868 r. można nazwać perjodem gorączkowej działalności w zakresie zakładania i otwierania szkółek rosyjskich; w r. 1868 już liczono 186 szkół z 26 tys. uczących się. W ich zakładaniu brały udział nietylko gminy i władze szkolne, ale nawet administracyjne, zwłaszcza komisarze do spraw włościańskich. »Jeżeli szkoła ludowa w gub. kowieńskiej w niektórych miejscowościach mniej więcej materjalnie jest zabezpieczoną, to przyczyny tego należy szukać w rozumnej działalności komisarzy do spraw włościańskich, tudzież w prawidłowem zrozumieniu potrzeb szkoły ludowej, której celem jest zaszczepienie wśród nierozwiniętych i sfanatyzowanych Żmudzinów podstaw rosyjskiej kultury i narodowości« — mówi b. nauczyciel ludowy w »Kowieńskich Wiadomościach gubernialnych,« 1889 r. nr. 91. Niechże ten sam pan nauczyciel będzie naszym przewodnikiem w sprawie zakładania szkółek w tym czasie. Oto jest opis założenia szkoły ludowej we wsi M., zaczerpnięty z jego pamiętników: »Pragnąc czemprędzej zobaczyć szkołę, nie spostrzegłem, że zrównaliśmy się z prostą chatą chłopską, na której dachu widzieć można było skrzywiony komin, przez otwarte wrota wyszedł z podwórza chłop w szarej siermiędze z blachą urzędową na piersiach, był to wójt (starszyna) włości K. Łamanym językiem oświadczył on nam, że w tej chacie włość wynajęła pomieszczenie dla założenia szkoły... Ponieważ w dzień naszego przyjazdu było naznaczone jej otwarcie, przeto zastaliśmy wyczekujących: komisarza do spraw włościańskich i ks. proboszcza, którzy spotkali nas na podwórzu. W szkółce było zebranych około 10 chłopców, moich przyszłych uczniów, oraz kilku chłopów, ich rodziców. Ani stołu, ani krzesła, ani tablicy, ani tego, coby choć z lekka przypominało szkołę, nie można było zauważyć. Włościanie i ich dzieci jakoś bardzo podejrzliwie rozglądali się dokoła.

Sprobowałem rozmówić się z niektórymi, ale bezskutecznie: nikt z pośród nich nie umiał ani słówka po rosyjsku... nawet ksiądz odpowiadał na nasze pytania stanowczo z wielką trudnością. Swoją drogą, żaden z nas — ani komisarz do spraw włościańskich, ani dyrektor szkół ludowych, ani ja — nie umiał ani słówka po żmudzku. Wypadło uciec się do mimiki i znaków. Po poświęceniu szkoły, ksiądz po litewsku powiedział chłopom mówkę, w której — jakem się dowiedział, gdy przetłumaczono ją na język rosyjski — przekonywał ich, że powinni posyłać dzieci do szkoły, a dzieci — że mają uczyć się pilnie. Dyrektor zarekomendował mię chłopom obecnym i zażądał od nich obietnicy regularnego posyłania dzieci do szkoły; zapytani milczeli, ale za nich tę obietnicę dał komisarz do spraw włościańskich. Nigdy jednak nie miałem więcej, jak 12 uczniów i literalnie ani jednej uczenicy; zresztą nigdy nie odwiedzali oni regularnie szkoły“.

Pomimo jednak grozy ówczesnej, gminy bardzo niechętnie składały się na budynki szkolne, tłumacząc się brakiem środków pieniężnych na kupno materjałów; by to usunąć, 29. (17.) stycznia 1866 r. zapadła uchwała, dozwalająca brać darmo materjały niezbędne z lasów skarbowych, gminy zaś zmuszano tylko do robocizny.

W tych warunkach zakładanie szkół szło raźno: od 1864—1868 r. wzniesiono 119 domów szkolnych i otwarto tyleż szkół, nawet w r. 1868, roku ciężkiego nieurodzaju, niemal głodu, otwarto 3 szkoły, ale wnet gorączka szkolna zaczyna ustawać. Od r. 1868—1872 otwarto 12 szkół, a od roku 1872—1882 już tylko 5; odtąd nie otwarto ani jednej rządowej szkoły ludowej, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Ważną była bardzo kwestja nauczycieli; rozstrzygnięto ją, jakem wspomniał uprzednio, rozdając te posady byłym alumnom seminarjum prawosławnego w Twerze... przeważnie, ale spotykały się i jednostki inne wykolejone.

W r. 1868 wśród nauczycieli ludowych było 3 geometrów, były wychowaniec Akademji lekarskiej w Petersburgu i t. d. Starano się zabezpieczyć materjalny dobrobyt nauczycielom ludowym: w tym celu wileński wielkorządca 22. (10.) kwietnia 1864 r. l. 251 postanowił, żeby nauczycielom ludowym oprócz wynagrodzenia wyznaczonego, wydawano z wiejskich magazynów zbożowych po 18 pudów*) zboża, oraz odpowiednią

*) 1 pud = 96 litrom.

ilość kaszy; to samo rozporządzenie zobowiązało gminy dawać nauczycielom mieszkanie z opałem i oświetleniem, oraz 4 rub. miesięcznie na strawę; potwierdzono je 6. czerwca (25.) maja 1866 r. l. 73, a w dniu 22. (10.) grudnia 1971 r. rozciągnięto je do nauczycielek ludowych *). Dalej minister spraw wewnętrznych dnia 16. (4) grudnia 1878 r. l. 181 orzekł, że przedewszystkiem najpierw winna być wypłacana z kas gminnych gaża nauczycielska w terminach miesięcznych, a potem już dopiero uiszczane wydatki.

Skorzystano też z lustracji, by obdarzyć szkoły ziemią: jakoż art. 72 instrukcji lustracyjnej z dnia 18. (6.) lutego 1868 r. orzeka, że każda szkoła ludowa winna otrzymać 1 diesiat. ziemi, ale w praktyce tego przepisu nie udało się urzeczywistnić; wszystkie szkoły ludowe otrzymały 14 dies. i 2229 sąż. kw. ziemi. Oprócz wymienionych, nadano nauczycielom dużo innych przywilejów, n. p. zwolnienie od służby wojskowej, skrócenie terminu emerytury do 16 lat i 8 miesięcy, datki i nagrody i t. d.**)

W tym też czasie władze wyższe uznały konieczność posiadania nauczycieli ludowych, wykwalifikowanych i choć nieco obeznanych z mową ludu, t. j. językiem litewskim. Wielkorządcy wileńscy w swych sprawozdaniach, składanych carowi za lata 1868—1871, wskazywali na tę konieczność. Jakoż dnia 26. (14.) listopada 1872 r. otwarto w Poniewieżu seminarjum nauczycielskie w gmachu, pozostałym po zniesionem w r. 1864 gimnazjum; zastosowano doń ustawę ogólną seminarjów nauczycielskich, ale z dodatkiem zaprowadzającym obowiązkową naukę języka litewskiego***).

Ciekawem jest wiedzieć, w jaki sposób odbywa się nauczanie dzieci, nieumiejących ani słowa po rosyjsku. Oto, co w tej ciekawej kwestji mówi księga jubileuszowa, na którą powoływałem się już nieraz: „wstępujący do szkoły mały chłopiec litewski jest nadzwyczajnie zamknięty w sobie; kilka dni milczy on uporczywie i patrzy w ziemię; na najprostsze pytania po litewsku nie odpowiada ani słówka; to też kilka dni nauczyciel o nic go nie pyta, ale tylko daje mu możność rozejrzeć się w nowem otoczeniu, i choć nieco przywyknąć do niego. Nareszcie bardzo powoli, jakby nie chcąc, uczeń zaczyna nazywać po litewsku części ciała i przedmioty, znajdujące się w klasie; nauczyciel natychmiast tłumaczy te wyrazy, wzbogacając w ten sposób codziennie pamięć ucznia nowym zapasem wyrazów rosyjskich.

(D. c. n.) *J. Syrokomla*

*) Te rozporządzenia uznane przez VI. departament senatu za bezprawne i zniesione zostały.

**) Księga jubileuszowa str. 124—125.

***) Prowadził je długo p. Lackij, z wykształcenia inżynier wojskowy, z urzędu kasjer powiatowy, z właściwości umysłu grafoman; dziś prowadzi je niejakie Bazyli Pojdenas, Litwin prawosławny, agent rządowy.

Z pism i książek.

Przymierze polsko-pruskie (Lwów 1900. Nakładem Tow. wydawniczego). Pod powyższym tytułem ogłosił bardzo interesującą monografję, poświęconą mało znanej dotychczas kwestji przymierza polsko-pruskiego, p. Szymon Askenazy. Na blisko 200 stronicach tekstu i 50 str. przypisów, zawierających przeważnie dokumenty dotychczas nieznane, kreśli autor historję zawarcia, rozkładu i zerwania traktatu polsko-pruskiego z r. 1790, w żywy, barwny i przystępny sposób opisując pobudki, które skłoniły Polskę z jednej, a Prusy z drugiej strony do zawarcia przymierza. Nie obfitowało ono w ważne dziejowe wyniki i dlatego pozostało poniekąd w cieniu, przyćmione szeregiem donioślejszych momentów, które pod koniec zeszłego stulecia z momentalną po sobie następowały szybkością. Historja przymierza polsko-pruskiego jest jednak nader ciekawa ze względu na to, że stanowi bezprzykładny niemal w dziejach nowoczesnych fakt jawnego wiarołomstwa politycznego, jawnego niedochowania zaprzysiężonej słowem króla Fryderyka Wilhelma II. umowy. W rozdziale II., pt. „Geneza“ wykazuje autor, że traktat zawarty został przez Prusy z istotnej potrzeby, dla niezwłocznego czynu, z rachuby politycznej rządu pruskiego. Z chwilą, gdy polityczna rachuba wskutek najróżnorodniejszych czynników zawiodła i Prusy zwróciły swe plany w takim kierunku, wobec którego Polska przedstawiała *une quantité négligeable*, z tą samą chwilą przymierze niedawno zawarte stało się dla pruskiej polityki tylko balastem, którego chciała się dyplomacja pruska w stosownej chwili pozbyć (rozdział IV. Rozkład). Gdy jednak sposobności zerwania polski sprzymierzeniec nie dawał, Prusy poprostu odmówiły dopełnienia swych zobowiązań, pomocy w chwili krytycznej Polsce nie dały, a nadto same wzięły udział w akcji przeciw Polsce, kierując się w tym względzie dyrektywą opartą na chwilowej kombinacji politycznej. (rozdz. I. Zerwanie).

Tego, co się nie udało dyplomacji pruskiej, tj. znalezienia powodu do zerwania przymierza, dopełnili *ex post* historjozofowie pruscy, ze świadomością i perfidją fałszując niezbite fakty i twierdząc, że Polacy, przez przyjęcie konstytucji 3. Maja, wbrew woli króla pruskiego, dali powód do zerwania, tymczasem król pruski był jednym z pierwszych, którzy Polsce z powodu konstytucji składali życzenia. „Dzieło potrzebne, rozważne i ważne, zniweczone przez przeciwne losy Rzplitej, a zarazem przez ciężkie Prus przestępstwo — oto czem było i pozostanie owo jedyne w swoim rodzaju, pamiętne i nauczające doświadczenia politycznego — przymierze polsko-pruskie“. r.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.